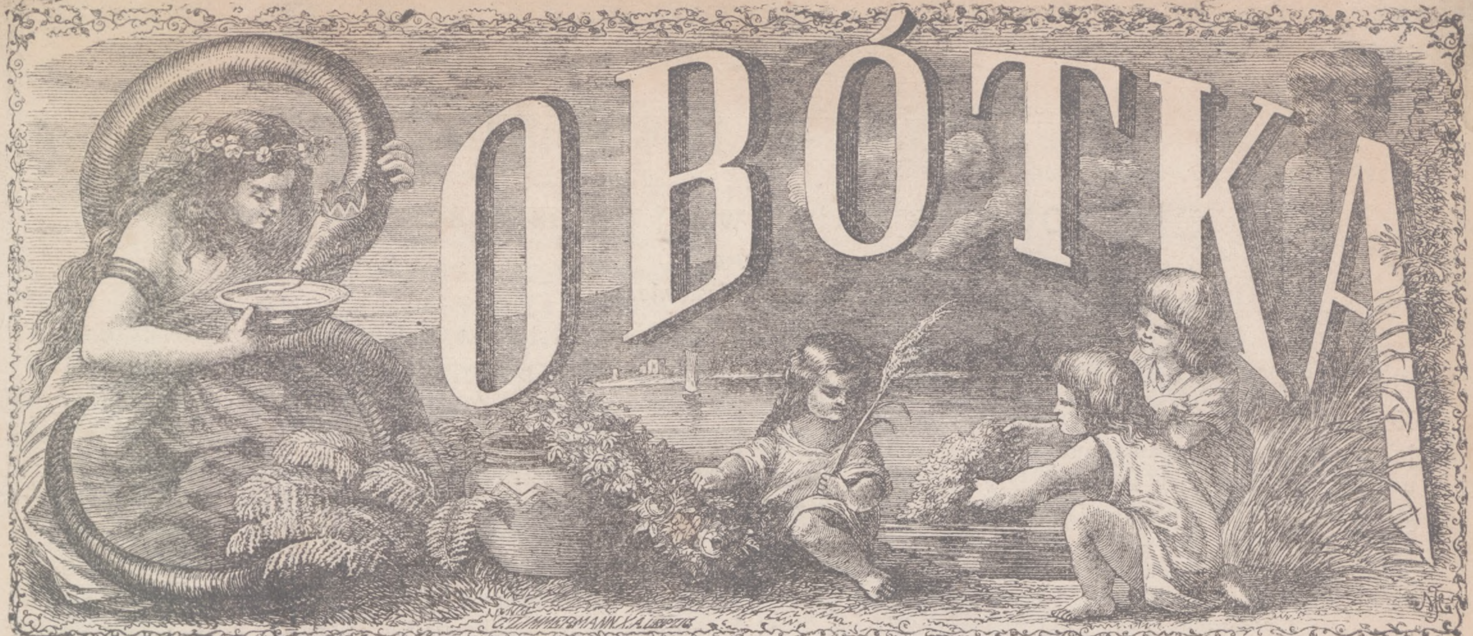


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 1. Poznań, dnia 1 Stycznia 1870. Rok II.

Od Redakcyi.

Rok już mija, jakeśmy rozpoczęli wydawnictwo Sobótki, jedynego tygodnika illustrowanego na cały zabór pruski.

W początkach samych spotkaliśmy się z trudnościami, które zwykle towarzyszą nowozałożonym czasopismom, a które u nas nie łatwo było pokonać. I jeżeli dziś po upływie roku mimo to udało nam się znaleść śród publiczności tak życzliwe przyjęcie i pozyskać dla pisma naszego tak znaczną liczbę czytelników, to dalecy jesteśmy od tego, ażebyśmym sobie samym całą mieli przypisywać zasługę i łudzić się myślą, jakobyśmy już wszystkie trudności przełamali i podnieśli pismo nasze do stopnia zupełnéj doskonałości.

Owszém jesteśmy mocno przekonani, iż Sobótka zawdzięcza swój tak pomyślny rozwój głównie téj okoliczności, że śród publiczności naszéj czuć się dawała wielka potrzeba podobnego organu.

Szlachetne usiłowania i zachody obywatelstwa naszego, podejmowane od lat kilku z uznania godną gorliwością w rozmaitych kierunkach około najświętszych i najważniejszych spraw narodowych, mianowicie około szerzenia oświaty ludowéj w szerokiém jéj znaczeniu, nie pozostały bez wydania pożądanych owoców, a podnosząc moralnie wszystkie warstwy ułatwiły tém samém wpływ i działanie pism publicznych. Tém też sobie tłómaczymy to, że Sobótka nie tylko w W. Księstwie Poznańskiém cieszy się wielką liczbą czytelników, ale że i po za jego granicami, w Prusach Zachodnich, na Szląsku pruskiém i austryackiém i w Galicyi znajduje po kilkaset abonentów.

Ten szeroki zakres rozwoju i działania Sobótki nakłada na nas nie tylko obowiązek sumiennéj pracy, ale równocześnie powołuje nas do odpowiedzialności za myśli i zasady, które przez pismo nasze szerzymy.

Dalecy jesteśmy od tego, abyśmy w szczupłych ramach pisma naszego mieli się silić nad wywalczaniem praw obywatelstwa dla idei które uważany za słuszne; na to ani zakres, ani program pisma naszego nie pozwalają. Atoli gdy rozwój życia społecznego zależy w wysokim stopniu od pojęć i wyobrażeń, jakie krążą w umysłowéj atmosferze społeczności, obojętną więc być nie może, czy tym lub owym będziemy schlebiali zasadom. To też uważać będziem za pierwszy a święty obowiązek tylko takie zamieszczać prace literackie w piśmie naszém, które istotnie uszlachetniają ducha a umysł oświecają, które budzą ducha narodowego i ogrzewają serce polskie, krzepiąc nasze nadzieje w przyszłość wspomnieniami ubiegłéj przeszłości.

Takie jest nasze zadanie w ogólnych rysach wyrażone, nad którém w miarę sił naszych jak najsumienniéj pracować pragniemy. I w téj též to myśli zwracamy się dzisiaj, przy rozpoczęciu drugiego roku wydawnictwa Sobótki do Szanownych Czytelników naszych, ażeby pismo nasze popierali z tą samą życzliwością, jakąśmy się dotąd cieszyli, jak i niemniéj do Szanownych Współpracowników i Przyjaciół Sobótki, aby ją zasilali swemi pracami i w interesie oświaty ludowéj starali się o jak największe jéj rozszerzenie.

W nadziei, że słowa nasze dobre i życzliwe znajdą przyjęcie, przesyłamy Czytelnikom i Współpracownikom naszym jak najszczersze życzenia

Nowego Roku!

Milion na poddaszu.

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

I.

W pierwszych miesiącach tak zwanego „Królestwa Kongresowego“ wyglądała Warszawa tak przepełnioną, jak tego dawno nie pamiętano. Najrozmaitsze postacie uwijały się po ulicach miasta, stały po rogach, witały się, rozmawiały i z pewną gorączką żegnały się i oddalały. Wszystko to nosiło cechy wyjątkowego życia stolicy.

Łatwo odgadnąć powód téj wyjątkowości. W kraju nastąpił nowy stan rzeczy. Napoleon odpłynął na wyspę św. Heleny, wojsko polskie wróciło do kraju, a kongres wiedeński ułożył nowe warunki bytu Królestwa.

Tym sposobem we wszystkich kierunkach życia społecznego następywały zmiany. Społeczeństwo polskie było podobne wówczas do wezbranéj rzeki, któréj wody powoli uspakajać się i opadać zaczęły. Ustępujące w dawne koryto wody znalazły tam wiele zmian, jakich pierwéj nie było. Tam utworzyła się głębia, tu miałki piasek porobił wyspy i wysepki, a gdzieindziéj znowu zwaliły się kamienie i potworzyły nieprzeparte zapory.

Tak wyglądało społeczeństwo polskie po przebytych wielkich katastrofach, po wezbranych aż do marzeń nadziejach, po których potrzeba było wrócić do twardéj, nieubłaganéj rzeczywistości i z nią się pogodzić na czas długi.

Wojsko wróciło do kraju. Tysiące rodzin pospieszyły do stolicy, aby tam szczęśliwie przy życiu pozostałych jak najprędzéj powitać, albo dowiedzieć się przynajmniéj o szczegółach śmierci tych, którzy nie powrócili...

To téż na ulicach można było zaraz poznać, kto nie znalazł tutaj krewnych. Smutnie, z głową w ziemię spuszczoną, chodzili i patrzeli na wszystkie strony, czy jeszcze gdzie nie obaczą twarzy ukochanéj, a przynajmniéj czy nie rzuci im kto z litości kilka słów pocieszających, któreby im wystarczyły na kilka godzin słodkiéj nadziei...

Byli tacy, którym z wszelkiemi szczegółami powiedziano, że ten lub ów poległ na polu walki, a oni jednak nie chcieli wierzyć, bo wierząc temu, musieliby — umrzeć z boleści!...

Koło kolumny Zygmunta zbierały się zazwyczaj całe tłumy takich nieszczęśliwych i wzajemnie udzielały sobie wiadomości w dniu dzisiejszym zdobytych. Wiadomości te były częstokroć tak fantastyczne, że tylko rozdarte serce matki, bolejąca dusza ojca lub szalona rozpacz żony, mogła im uwierzyć...

Od czasu bitwy pod Lipskiem widziano przez pięć lat wysokiego, chudego człowieka, w dużéj, rogatéj czapce, chodzącego po Krakowskiém Przedmieściu i Nowym Świecie, od kolumny Zygmunta aż do „trzech krzyży.“ Przed każdym przechodzącym stawał, witał go i pytał, czy nie znał i nie widział gdzie jego syna...

Przez dziesięć lat widywano staruszkę codziennie na wszystkich pryncypalnych ulicach, która jedynaka swego szukała. Zaglądała do wszystkich zajazdów, podsłuchiwała rozmów przechodzących, płakała i modliła się, wierząc sercem macierzyńskiém, że jéj syn nie zginął, że wróci! A kiedy w celi szpitalnéj potrzeba było rozstać się z tym światem, nieszczęśliwa staruszka płakała rzewnie, że Bóg nie dozwolił jéj jeszcze trzech dni życia, gdyż w tych dniach niezawodnie syn jéj nadciągnie do Warszawy i nie będzie nawet miał z kim się serdecznie przywitać!..

A takich jak ten ojciec, szukający w końcu już tylko z nałogu syna swego, jak ta matka, wierząca w powrót jedynaka, były tysiące, tylko ich boleść i nadzieje nie objawiały się w formie tak ekscentrycznéj. Siedzieli oni smutno i cicho, na poddaszach i pierwszych piętrach, ścierali łzę gołą ręką lub chustką batystową...

Do przeludnienia miasta przyczynili się także i ci, którzy z nowego stanu rzeczy korzystać chcieli. Kraj potrzebował nowéj organizacyi, wojsko tak zwanéj reorganizacyi. Jedni chcieli z czystych pobudek dla kraju pracować, inni dla chleba, a wielka część była takich, którzy w tych nowych robotach widzieli szerokie pole dla swojéj ambicyi i dumy.

Do tego jeszcze dodać należy, że po takich wysileniach, jakie kraj w ostatnich latach poniósł, podupadło wiele fortun a tysiączne zastępy nowego proletaryatu weszły do stolicy, jako do serca kraju, aby tam znaleść kawałek chleba, lub przynajmniéj się razem biedą swoją cieszyć.

Oprócz tych widocznie biednych ludzi, były jeszcze krocie innych, którzy do ubóstwa otwarcie przyznać się nie chcieli. Nie byli to wprawdzie ubodzy w zwykłém znaczeniu tego słowa, ale byli ubodzy w stósunku do tego, co przedstawiać mieli.

Ludzie ci byli nieszczęsną puścizną smutnych ostatnich czasów Rzeczypospolitéj. Ojcowie ich, porwani dziwnym niewytłómaczonym dotąd psychologicznie szałem największych zdrożności życia, rzucili w ten szał swoje majątki i poczciwe wspomnienia rodowe. Schodząc do grobu, przekazali swe historyczne nazwiska niedołężnym potomkom, którym fortuny nie zostawili, a których niczego uczyć nie kazali... Pozostałki ostatnich, cynicznych teoryi życia, nie mieli nawet w sobie tyle poczciwego instynktu, aby wstąpić w szeregi wojska narodowego. Wybladli i głodni woleli wycierać salony warszawskie i z dnia na dzień przemyśliwać o grożącém jutrze. Mimo to miny ich na pozór oznaczały ludzi dostatnich fortun, a marzenia ich przewyższały niejednego milionera.

I dla tych ludzi była dzisiaj pora bardzo korzystna. Wielu z nich, nie mając swego żywota niczem namarkowanego, pogodziło się z nowym stanem i przeszło

w intratną służbę do przeciwnego obozu, mając za podwładnych tych, którzy pod Sammo-Sierra szli na mordercze bateryę. Inni w inny sposób starali się przyjazną sytuacyę exploatować.

Jeżeli zaś któremu z nich Opatrzność proste nogi dała i na tułowie twarz nie bardzo szpetną osadziła, ten uważał już siebie za uwolnionego od wszelkiéj pożytecznéj pracy. Potrzebował tylko te nogi i tę twarz starannie pielęgnować, wierząc silną wiarą Turka, że za nie powinien bez żadnéj pracy dostać znaczną fortunę z dodatkiem żony.

I bardzo logicznie rozumowali sobie podobni spekulanci. Według ich wyobrażeń czasy prawdziwych zasług dla kraju, które to zasługi zawsze sowicie zaszczytami i fortuną wynagradzane były, bezpowrotnie minęły. Nie było więc nadziei, aby czémś można było podtrzymać dawny lustr narodu. Trzeba więc było ratować zagrożoną ubóstwem pozycyą społeczną bogatém ożenieniem się, do czego nigdy milionowych ochotniczek nie braknie. W zamian bowiem za milion daje się niepoślednie nazwisko, herb na drzwiczki od karety i guziki liberyi... więcéj?... Na cóż więcéj, jeśli to wystarcza?...

A z takich właśnie ludzi składało się towarzystwo, w które teraz czytelnika wprowadzamy. Każdy z nich mógłby przynajmniéj być ministrem przy innych okolicznościach, dzisiaj pozostało tylko marzenie — o posażnéj żonie!

II.

W niewielkim saloniku, urządzonym z wielką wykwintnością siedziało pięciu młodych mężczyzn. Obrazy wiszące na ścianach okazywały, że gospodarz domu był kawalerem. Obok koni i chartów były nagie kobiety, obok scen myśliwskich, były kopie starożytnych greckich utworów. Przy zegarach, zwierciadłach i innych sprzęcikach, był nieunikniony kupido ze złotą strzałą, ornament tak wysoko ceniony za czasów panowania Stanisława Augusta.

Siedzący na niskich krzesłach mężczyzni byli młodzi. Żaden z nich, jak się zdawało, nie przekroczył jeszcze o wiele trzydziestego roku życia. Wszyscy mieli ogromne czuby na środku głowy do góry misternie wzniesione, jak to nakazywała ówczesna moda. Peruki bowiem już były zeszły, a długi czas krótko strzyżone włosy rosły teraz bujnie i obficie. Kołnierze od surdutów, które jeszcze nieco na fraki zakrawały, były wysokie i sięgały aż do uszu Białe chustki grubo na szyi nawiązane z misternym węzłem a poniżéj długie tak zwane francuzkie westy uzupełniały ubiór najważniejszéj części ciała ludzkiego. Na piersiach pozostały jeszcze u niektórych żaboty, a u rękawów koronki.

Jeden z nich był brunet i w rozmowie nazywano go Podkomorzycem. Drugi miał blond włosy a przed chwilą nazwał go służący panem Podczaszycem. Trzeciego bladego szatynka zwano po prostu Hektorem z dodatkiem czasem herbu Leliwy, a dla uzupełnienia tradycyi greckiéj czwarty o rudawéj czuprynie miał imię Achila. Piąty najmniéj respektowany a najczęściéj mówiący, nazywał się krótko Lesio z dodatkiem Piława.

Po niejakiéj pauzie, którą właśnie sprawiły słowa Hektora, że dzisiaj u pani Podkomorzyny nie będzie żadnego liczniejszego zebrania, na które większa część przytomnych liczyła, ozwał się Lesio Piława:

— Ja nie myślę wcale ubiegać się o jaki urząd. Z urzędem połączone są rozmaite nieprzyjemności — do tego służba dzisiejsza publiczna djabła warta! Dawniéj, kiedy to były dobra koronne...

— Jerzy przyjął rotmistrzowstwo w pułku szaserów, wtrącił Hektor.

— W wojsku jeszcze pół biedy, ale do pióra i zielonego stolika, to trudno się przyzwyczaić, dodał Podkomorzyc.

— Gdyby przynajmniéj zacząć od czegoś, na przykład od pułkownika, jak to ongi był powiedział JMPan Potocki. Ale wysługiwać się po brudnych koszarach i potem wchodzić na salony JMPani Wojewodziny, która ma tak delikatne nerwy, że te koszary na dziesięć kroków czuje, to rzecz niepodobna! zagadnął Podczaszyc.

— Mais savez-vous? Lolko się żeni i bierze dwa miliony gotówką! ozwał się Achil, podgarniając czuba.

— Sapristi! że takie szczęście żadnego z poczciwych ludzi nie spotka! zauważył Podkomorzyc.

Teraz zaszła rozmowa wyłącznie do posażnych panien stolicy. Wszyscy mówili, każdy swoją wiadomość dorzucił, a działo się to wszystko z takiém zajęciem, że trudno nawet było rozeznać, kto mówił.

— Mówią, że Izabela nie będzie miała więcéj nad dwakroć! Starościna mydli oczy konkurentom!

— Andrzej jest bliski deklamacyi, bo mu mecenas podszepnął, że Tela będzie miała pół milionka!

— Ale nie wiecie, jakie nieszczęście spotkało Stefana! Przez dwa lata śpiewał włoskie piosenki i chodził do Karmelitów na ranne nabożeństwo, a nawet mówią, że jeden wielki post cały pościł... a teraz powiedziano mu, że panna Eliza za życia mamy dobrodziejki, która jest czerstwa i zdrowa, nic nie dostanie prócz peryodycznego dowozu legumin i innych kuchennych akcesoryów, jeżeli Stefan, jak to pannie obiecywał, zechce mieszkać w stolicy...

— Que diable! To sprawa niemiła! Trzeba wielkiéj zręczności do wycofania się...

— Stanisław najlepiéj sobie poradził. Upatrzył sobie bogatą rzeźniczkę, chodził codziennie na kiszki i flaki...

— Que dites-vous! I miałby się z rzeźniczką żenić? Cóżto był za dom dziwny!

— I owszem! Mielibyśmy najlepsze szynki i kiełbasy po postnym obiadku u Wojewodziny!

Tutaj otworzyły się drzwi. Do pokoju wszedł niski, okrągławy człowieczek z błyszczącemi brylokami na brzuchu. Niegdyś był może brunetem, dzisiaj przebijającą siwinkę nacierał jakiémś czernidłem, a wychylającą się nieprzyzwoicie łysinę zasłaniał starannie długiemi kosmykami włosów nagarniętemi aż gdzieś z boku.

Mimo to z rumianéj, świecącéj się twarzy przybyłego gościa widać było, że w skrytych marzeniach swoich jeszcze do młodzieży się liczył, chociaż napozór z wielką ostentacyą ten przymiot od siebie odpychał, nazywając się zawsze starym. Nie lubił jednak, jeżeli inni tym przymiotnikiem go nazywali. Wtedy nawet był impetyczny.

— Kubaś, Kubaś! wołali wszyscy na wyścigi i powstali, aby przyjaciela uściskać.

Kubaś miał dzisiaj twarz prawdziwego dyplomaty. Brodę schował w wysokie kołnierzyki i szeroko zawiązaną chustkę, cybulaste oczy potoczył po zgromadzonych z pewną niedowierzającą nieufnością i czekał na pierwsze słowa.

— Stary Kuba coś nam dzisiaj ciekawego przynosi! zawołał Hektor, uderzając go po ramieniu.

Kubaś skrzywił się, rzucił kapelusz na krzesło i odburknął:

— Z wami nie podobna jest jednego słowa na seryo przemówić. Macie zawsze dziecinne żarty!

Tu zerknął Kubaś do źwierciadła i poprawił mozolnie z boku nagarnionego czuba.

— Ależ ojcze Jakubie! Patryarcho nasz przewielebny! Rozprowadź fałdy czoła twego, które nie są oznaką starości, ale zapamiętałego gniewu! improwizował Lesio ze słodkim uśmiechem.

— Skończcie wasze żarty! odfuknął Kubaś — wiem ja lepiéj od was, że nie jestem młodzikiem, ale...

— Ale mężem w pełnéj sile wieku! przerwano mu naraz z różnych stron.

Kubaś jeszcze raz wysłał na zwiady swoje wypukłe oczy. Obszedł niemi wszystkie nosy i na pół otwarte usta, chciał nawet pogłębiéj pod czaszkę zaglądnąć, ale nie potrafił. Na wypolerowanych czołach odbiły się nieposłuszne oczy i poraz drugi nie chciały próbować szczęścia. Kubaś zadumał się, jakby się z czémś wahał.

Towarzysze obskoczyli go dokoła i zaczęli się do niego przymilać, obsypując go pieszczotami.

— Zaczekajcie, ozwał się po niejakiéj chwili Kubaś, którego czasem po przydomku antenatów Krzywdą nazywano.

Wszyscy zasiedli miejsca swoje, zostawiając kanapę dla nowo przybyłego.

— Wielką nowinę wam przynoszę, zaczął Kubaś Krzywda, krewniak wielkiego pisarza koronnego, nowinę, która was wszystkich aż do szpiku poruszy!... Jest w Warszawie panna z milionem posagu!

— Milion posagu! krzyknęli wszyscy, rzeczywiście aż do szpiku tém słowem rażeni.

Krzywda zaturbował się tym entuzyazmem. Obszedł znowu oczyma wszystkie nosy i czoła. Coś się w nim odzywało, że zrobił głupstwo, ale inaczéj być nie mogło. Miał on widocznie jakiś planik ukryty, ale właśnie dla tego planiku potrzeba było wypowiedzieć to czarodziejskie słowo.

Zmartwił go jednak i zaniepokoił efekt, jaki na towarzyszach sprawiły jego słowa. Hektor zmarszczył czoło, jakby gotów był stanąć do walki śmiertelnéj o ten milion, Achil zpod oka spojrzał na niego, przypominając mu tém wejrzeniem dzieje nieszczęśliwéj Troi, w których Achil pobija Hektora... podkomorzyc z dumą wydął usta, jakby chciał tém powiedzieć, iż z prawa ten milion jemu się należy, czemu jak najwyraźniéj protestował podczaszyc, gładząc świeżo ogolone wąsy. Lesio Piława jak się zdawało nie windykował dla siebie całego miliona, ale miał niepłonną nadzieję, że przez zręczne obroty można będzie jaki prezencik z niego dla siebie okroić.

Wszystko to niepokoiło Kubasia. To też chciał zaraz zmazać ten efekt następném słowem, nad którém właśnie przemyśliwał. Ale słowo takie w żaden sposób nie chciało przyjść mu do głowy. Pomogli mu towarzysze.

— Milion posagu! powtórzyli chórem, a głos ich był dźwięczny, jakby wszyscy byli tenorami.

— Tak jest, milion posagu! odparł zakłopotany Kubaś, ale ten milion stanie się wtedy rzeczywistym milionem, jeżeli wy więcéj wiecie odemnie o nim i moją wiadomość w należyty sposób uzupełnicie!

— A cóż ty wiesz? Cóż ty wiesz? Gadaj, tylko prędko! zapytali wszyscy z niecierpliwością.

— Ja wiem tylko tyle, powoli ciągnął Kubaś, że ten... milion... jest na poddaszu!

Wymówiszy ostatnie słowo, spojrzał Kubaś ciekawie po twarzach towarzyszy. Twarze te jednak okazały biednemu Kubasiowi, że źle rzecz obliczył. Słowo „poddasze" nietylko nie zmazało efektu „miliona", ale owszem spotęgowało go. Wszyscy byli nadzwyczaj rozciekawieni. Łatwiéj bowiem wziąść milion z poddasza, niżeli z pałacu, lub zamku. Tam można lada świecącym pozorem omamić, tu wszyscy znają się na pankowanych lisach.

— Milion na poddaszu! zawołano chórem, to istna awantura.. to złote runo, po które nawet Jazon nie potrzebowałby przejść wzburzonych bałwanów morza!... Ależ do licha! jakże ten milion dostał się na poddasze! Opowiedz!

Kubaś już był widocznie takim obrotem rzeczy zmartwiony. Przemyśliwał tylko teraz nad tém, jakto poprowadzić swoje opowiadanie, aby dopiąć celu ukrytego swego planiku, a u niebezpiecznych przyjaciół nie wzbudzić zbytecznego apetytu do tego miliona!

Jedno i drugie wobec tak czujnych adwersarzy było nader trudném zadaniem. Potwierdzały to ich twarze. Na każdéj malowało się jakieś zamyślenie... zdaje się, że każdy z obecnych był już myślą na tém szczęśliwém poddaszu i pierwszym szturmem brał ten milion dla siebie, odpychając współzawodników...

Kubaś westchnął skrycie i może poraz pierwszy w życiu pomyślał sobie, ze nie jest tak młodym, jak inni... (Ciąg dal. n.)

NA NOWY ROK!

Słyszycie! północ już bije,
Rok stary w mgły się rozwiewa,
Jak sen przepada...
Krzyczmy: rok nowy niech żyje!
I rwijmy z przyszłości drzewa
Owoc, co wiecznie dojrzewa,
A nie opada.

Rok stary jak ziarnko piasku
Stoczył się w czasu przestrzenie;
Czyż go żałować?
Niech ginie! bez łzy, oklasku,
Jak ten gladiator w arenie,
Co upadł niepostrzeżenie —
Czas go pochować.



Życzmy sobie nawzajem
Szczęśliwych lat!
Niech myśl powstanie swobodna
I światło błyśnie nad krajem!
Bogu w opiekę oddajem
Przyszłości kwiat.

Bywały lata, ach! krwawsze,
Z rozpaczy jękiem lecące
W przeszłości mrok,
A echo powraca zawsze,
Przynosząc skargi palące...
Precz z smutkiem! Życzeń tysiące
Na Nowy Rok!

Z pod gruzów rozbitych złudzeń
Wynieśmy arkę rodzinną
Na stały ląd!
Duchowych żądni przebudzeń,
Potęgą stańmy się czynną,
Bacząc, by w stronę nas inną
Nie uniósł prąd.

Rozumu! niezgiętéj woli,
Prawdziwéj duchowéj siły
I serc czystości!
A Bóg nam stanąć pozwoli,
I z naszéj skromnéj mogiły
Dzieci się będą uczyły:
Jak żyć w przyszłości.

W olbrzymim pokoleń trudzie
Bądźmy ogniwem łańcucha,
Co się poświęca;
Nie marzmy o łatwym cudzie!
Najwyższy heroizm ducha
Jest walką, co nie wybucha
Pracą bez wieńca.

Uderzmy w kielichy z winem
I bratnie podajmy dłonie,
Wszakże już czas!
Choć różni twarzą lub czynem,
Niech nas duch jeden owionie,
Niech zadrzy miłością w łonie
I złączy nas!

Bo miłość ta, która płynie
Z poznania ziemskiego mętu,
Jest światłem dusz;
Choć Bogu wznosi świątynie,
Potrafi zstąpić bez wstrętu
I wyrwać słabych z odmętu
W pośrodku burz.

Tych naszych braci, co cierpią,
Miłością naszą podnieśmy
Męczeński ród,
Niech od nas pociechę czerpią,
Nadzieję w ich sercach wskrześmy.
Wołając: jeszcze jesteśmy —
Niech żyje lud!

Niech żyją pierwsi w narodzie!
Jeżeli zawsze są pierwsi
I w poświęceniu,
Gdy z czasu potrzebą w zgodzie,
W szlachetnym czynie najszczersi,
Swą dumę umieszcza w piersi,
A nie w imieniu!

I ci, co żadnéj spuścizny
Na grobie matki nie wzięli
Prócz łez — niech żyją!
Jeżeli miłość ojczyzny
Jako synowie pojęli,
I na wyłomie stanęli,
Gdzie gromy biją.

Spełnijmy puchary do dna
I życzmy sobie nawzajem
Szczęśliwych lat!
Niech myśl powstanie swobodna
I światło błyśnie nad krajem!
Bogu w opiekę oddajem
Przyszłości kwiat.

El...y.

Kartka z podróży po Georgii

przez **J. Grz...**

Mecheta.

...Było jeszcze do Mechety wiorst ośm. Acz dość późno, chciałem koniecznie tejże nocy stanąć u kresu swojéj podróży — w Tyflisie. Mój towarzysz Ormianin Sarkiz Ter-K...-Mar... wszelkiemi argumentami starał się mię odwieść od tego.

— Ależ zmiłuj się, przekładał, dziesięć dni już podróżujemy; wynieśliśmy na swoich barkach i burze morskie i słotę mingrelską i upał Imerecyi i chłód białogórski, zmęczeni, stłuczeni, tuż-tuż mając przed sobą złote runo Georgii, czyż nie warto odpocząć, odświeżyć się i zdrowym na ciele i duszy stanąć w grodzie Kaukazu?

— Tém bardziéj, ponieważ jesteśmy tak znużeni, a tak jeszcze nie wiele nam pozostało, sądzę, że połowiczny odpoczynek, jaki mielibyśmy w ciągu tych kilku godzin nocy, więcéjby nas jeszcze znużył, osłabił i uczynił niezdolnymi do przebieżenia tych trzech czy czterech mil. To lepiéjże doklepać biedy do końca, a na miejscu już sobie pozwolić wszelkich wygód sybaryty.

— Ale niechcesz-że, przyjacielu, zwrócić uwagi na jednę rzecz, począł już z innéj beczki. Wszak za godzinę najdalej będziemy w Mechecie, słyszysz, w Mechecie!... Wszak to dawniejsza stolica Georgii. Czyżbyś chciał wyrządzić tę zniewagę narodowi georgiańskiemu i nie uczcić tu jego przeszłości, nie zapłakać nad grobami jego królów i wodzów?

— Chętniebym temu zadość uczynił, ale sam wiesz, że nie mogę. Za powrotem z Tyflisu dopełnię téj powinności.

— No, skoro jesteś tak upartym, to patrz, same żywioły natury sprzysięgły się na twoją zgubę. Spojrzyj tylko w około.

Obejrzałem się. Na zachodzie pomiędzy cyplami całego łańcucha gór widać było jakby łunę olbrzymiego pożaru: to słońce, dawno już zaszłe, przesłało ziemi kilka krwawych promyków. Tam gdzie cyple w większych od siebie odstępach tworzyły łuki większéj średnicy, promyki te stanowiły oddzielne smugi światła, rzekłbyś płomienne języki w niezmiernym, ognistym piecu; gdzie zaś cięciwy tych łuków coraz się rozszerzały, gubiąc się w nieskończonéj dali, albo gdzie odstępy między cyplami i same cyple były mniejsze, tam te płomienne języki zlewały się w jeden potworny język; nareszcie po nad wszystkiemi cyplami i wierzchołkami rozszerzał się i zalewał całą przestrzeń niebios jeden czerwonawy ogień. Czerwonawość ta odbiła się w całéj atmosferze i odrzuciła w purpurowych odcieniach łunę swą na sterczące przed nami w dali szczyty Elborusu i Kazbeku Nie wiem, jakby długo trwało to cudne zjawisko, ale po chwili wjechaliśmy w głęboki i zakryty ze wszech stron wąwoz, a kilka chmurek, błądzących dotychczas nad naszemi głowami sporadycznie, zeszły się w jednę masę i jakby całunem pokryły przestrzeń między dwiema przeciwległemi ścianami naszego wąwozu. Ciemności nas ogarnęły nieprzejrzane. Oddech stawał się coraz trudniejszym, powietrze do tyla było przesycone parami, że zdawało się — torujemy sobie drogę przez chmury; zaduch i parnota zwiastowały bliską burzę. Konie to nawet czuły, bo parskały raz po raz i przysparzały kroku, jakby im spieszno było czemprędzéj schronić się przed zbliżającą się walką żywiołów. Wąwoz się zwężał, jechaliśmy wąską drożyną nad brzegiem głębokiéj przepaści; pod nami z pewnością na jakie piećdziesiąt sążni szumiała bystra Kura, rozbijając o skaliste brzegi spienione fale; nad jéj skałami z przeciwległéj strony porozkładane były ognie, przy świetle których mogliśmy dojrzeć porozrzucane grupy dzikich Lezgińczyków, pieszych i konnych z napiętemi na ramionach kosmatemi burkami. Trójka nasza, pomimo ciemności i niebezpiecznéj, urwistéj drogi, coraz szybciéj pomykała; dzwonek pocztarski to milczał ponuro, to rozległszy się głośno raz po raz, wydawał niejasne, głu-

che dźwięki, jakby ostatnie echo w jaskini. Przytuliliśmy się do siebie na kibitce bliżéj, wzięliśmy się ręka w rękę i pędziliśmy w milczeniu... W tém błysło, — piorun z całą grozą uderzył i odbił się echem po tysiącznych skałach. Deszcz z początku wielkiemi kroplami zaczął padać, a potém lunął całemi strumieniami. Grzmoty i pioruny coraz częściéj i gwałtowniéj dały się słyszeć, a wiatr poprzedzony strasznem wyciem szakalów, łamiąc i druzgocąc największe drzewa, huczał przeraźliwie. Była to burza kaukazka w całym majestacie swojéj potęgi! Szczęściem naszém — zbliżaliśmy się do stacyi mechetskiéj... Woźnica podniósł się na koźle, powstrzymał konie, spojrzał na prawo i począł krzyczeć z całéj mocy: chabardah, chabardah!...

— Co to jest, zapytaliśmy go jednocześnie?

On nic nie mówiąc, wskazał batogiem na prawo, gdzie w kilku miejscach rozrzucony ogień zaledwo tlał, zgaszony zapewne ulewą.

— Co to jest? co to jest?

— Karawana wielbłądów, odparł z gniewem, proszę wysiąść, bo konie spłoszone rwą się. Wysiedliśmy tedy i poprzedzeni kibitką zwolna omackiem brnąc po błocie, dążyliśmy do stacyi; obeszliśmy całą karawanę wielbłądów, które na klęczkach rozłożyły się półkolem, jeden za drugim, każdy z tyłu uwiązany do ogona poprzedzającego; we środku półkola, jak to już widzielśmy, tlały porozrzucane ognie, a przy nich śpiący Tatarzy, pookrywani bawolemi skórami i burkami.

Nie pomału zdziwieni zostaliśmy, kiedy na odgłos dzwonka pocztarskiego wyszedł dozórca stacyi i z ujmującą grzecznością wprowadził nas przez obszerne korytarze do bardzo przyzwoitego apartamentu, składającego się z dwóch pokoi: bawialnego i sypialnego; pokoje obszerne, szpalerowane z gotyckiemi oknami, umeblowane stósownie do gustu i potrzeb najwykwintniejszego Europejczyka, łatwo mogły sprawić to złudzenie, że nie jesteśmy w Azyi ale w Europie. Dowiedzieliśmy się późniéj o przyczynie takowego komfortu. Brat carski Michał, namiestnik Kaukazu, umyślnie kazał zbudować ten pałacyk, jako będący na drodze z Tyflisu do jego letniéj rezydencyi — Borżomu. Przejeżdżając, zatrzymuje się tu zwykle na śniadanie, a całe tłumy próżniaczéj gawiedzi, dążą wślad za nim, popasując tu niekiedy dzień cały. Nie było sposobu myśleć o wyruszeniu w dalszą podróż, zdjąłem tedy z siebie podróżne suknie i rzuciłem się na posłanie, aby choć trochę dać folgę potłuczonym kościom i ogrzać zziębnięte ciało. Kazałem w tym celu rozniecić ogień na kominku i nastawić samowar, gdy tymczasem mój towarzysz swoim zwyczajem począł się kręcić po wszystkich zakątkach, wyszukując swoich ziomków, z którymi rad był jak najczęściéj obcować.

Mecheta (matka miast) położona na pochyłości dwóch dolin, skrapianych Kurą i wpadającą do niéj Aragwą, sięga początkiem swoim dalekiéj starożytności. W zamierzchłych, bajecznych czasach na 2,200 lat przed narodzeniem Chrystusa, Sezostris Wielki, król Egiptu, wysłał kilka tysięcy Egipcyanów na brzegi mor a Czarnego, którzy założyli tam państwo Kolchidy Jeden z wodzów, Mechetos, poróżniwszy się ze swymi kolegami, zabrał się z całą rodziną i domownikami, udając się w głąb' Kaukazu. Po wie u walkach z dzikimi góralami zatrzymał się w tém miejscu, gdzie Aragwa wpada do Kury i założył miasto Mechetę, tak nazwaną od jego imienia. Jeden z jego potomków, Kartlos, był założycielem państwa Kartalińskiego, czyli właściwéj Georgii i protoplastą familii Dedebulów, która się znacznie późniéj rozmnożywszy, stanowiła osobny stan — najwyższéj szlachty, książąt i panów, dzierżących najpierwsze urzędy w kraju i tytułujących się mtawarami (w późniejszych czasach — tawadami) t. j. „sławą kraju". — Historyczne dzieje zaczynają się od téj chwili, kiedy Pompejusz, prześladując Mitrydata gonił za nim przez Kolchidę aż do Mechety. Tu z powodu wezbrania wody w Kurze i Aragwie, zmuszony zatrzymać się kazał wybudować kamienny most, dotychczas istniejący. Zawiązały się więc częste stósunki między Rzymem a Georgią, ponawione tém chętniéj, że Georgianie, niemając soli, musieli takową dostawać z rąk rzymskich kupców.

W IV. wieku po Chr. kiedy Miriam, otrzymawszy z rąk św. Niny chrzest śty., ozdobił miasto kościołami, Mecheta już była groźną, dla sąsiadów swoją nieprzystępną fortecą; z dwóch rzek przekopane były fosy na około miasta, a od północy broniły ją skały, Król Wachtang Gurg-aślan (wilko-lew), fundator katedry mechetskiéj, za powrotem swoim z wyprawy do Jerozolimy i Indyi, zwołał tu całe duchowieństwo georgiańskie, potwierdził wybranego arcybiskupa w godności Katolikosa czyli patryarchy całéj Georgii i osadził go w Mechecie, a sam z politycznych widoków przeniósł swą rezydencyą i stolicę państwa do Tyflisu. Od téj pory każdy król musiał dwa razy koniecznie w życiu być w Mechecie: raz, otrzymując koronę w tutejszéj katedrze z rąk patryarchy, a drugi raz, udając się na wieczny odpoczynek, — kiedy zwłoki jego składano w téjże katedrze.

Począwszy od 700 r., to jest od téj chwili, kiedy Arabowie wtargnęli do Georgii, aż do początku teraźniejszego wieku, t. j. do czasu, kiedy Moskale zajęli ten kraj, z wyjątkiem wieku XI, tak zwanego złotego wieku Tamany, nie mijało lat kilka ażeby mieszkańcy Mechety nie widzieli przed swojemi murami nieprzyjaciół. Wszystkie spustoszenia i wojny, które kolejno trapiły ten nieszczęsny, może najnieszczęśliwszy ze wszystkich, kraj, odbiły się na jego dawniejszéj stolicy. Arabowie, Dżengis-Chan z Mongołami, ślepy i kulawy Tymur z Tartarami, Persowie, Turcy, Moskale — wszystko to jakby lawa wulkaniczna przez całe wieki zalewało Georgią a każden z nich uważał sobie za obowiązek zatrzymać się w Mechecie, zniszczyć bodaj resztkę murów i świątyń i urągać się nad popiołami jéj obrońców. Jeżeli do tego dodamy ciągłe, nieustające najazdy Lezginów, to niedziw, że charakter narodowy zatrzymał aż dotychczas dzikość i surowość, znamionującą ludy rozbójnicze; i niedziw téż będzie, że z dawnéj Mechety nie pozostał kamień na kamieniu!

Gdy tak rozmyślałem nad kolejami, przez które przeszedł ten kraj i jego starożytna stolica, drzwi się z łoskotem otwarły i wbiegł do pokoju Sarkiz, wiodąc za rękę mężczyznę w wieku średnim, wzrostu słusznego, który na wstępie powitał mię czystą polszczyzną:

— Dobry wieczór! a skądżeś to, rodaku, do nas zawitał?

O cztérystu mil od kraju, na obczyźnie, śród nieprzebytych gór i lasów, gdzie dźwięk mowy polskiéj acz nieraz się rozlegał, ale któregom ja jeszcze tu nie słyszał, raptownie zostać powitanym rodzinnem słowem, a do tego szczerze powiedzianém, — była to dla mnie radość niespodziana. Podaliśmy sobie bratnie dłonie i jak zwykle w takich razach bywa, już po chwili byliśmy gdyby oddawna znajomi i przyjaciele.

P. Sr...... rodem z Kongresówki, w 1848 r., tylko co ukończywszy szkoły, został uwięzionym w skutek jakichciś podejrzeń i oddany w sołdaty na Kaukaz, jak powiadają Moskale, z wysługą. Walczył na granicach Persyi, a dostawszy tam kulą w lewe ramię, wywalczył stopień chorążego i przeniesiony do Dagestanu po ułanym był niejednokrotnie przeciw Szamilowi, aż nareszcie, dostawszy kilkorazowe pchnięcie kindżału czerkieskiego, otrzymał dymisyą z krzyżem św. Jerzego i z warunkiem pozostania na Kaukazie do lat 10. Ożenił się tu z Georgianką, miał już czworo dzieci i nie myśał wracać do kraju, bo, jak powiadał, bliższa rodzina wymarła, o dalszéj zapomniał, a wreszcie dodawał, po cóż wracać, aby widzieć tylko łzy i niedolę; więc powziął zamiar w tymże

roku wyemigrowania do Małéj Azyi i osiedlenia się tam w kolonii Czartoryskich.

Ma się rozumieć, nie pozwolił na to abym spijał podróżną herbatę, a zabrawszy nas z Sarkizem, zaprowadził do swego pomieszkania, znajdującego się w tymże budynku, gdzie zarazem i miał rodzaj jakiéjś kawiarni dla podróżnych.

— Otoż i jest mój locus, rzekł, wprowadziwszy do małego bawialnego pokoiku, a to moja żona i dziatki.

Żona jego była w wieku średn.m, lat 23; powiadam w wieku średnim; u nas, na północy, jest to wiek rozwijającéj się piękności i siły dla kobiety, a tu, na południu, gdzie kobieta tak wcześnie dojrzewa i starzeje się, śmiało może być nazwany wiekiem średnim; i gdyby mnie nie upewnił p. Sr......, że ożenił się z 13letnią i nie wskazał na najstarszego chłopczyka, mającego lat 9, policzyłbym jéj 32 lata.

(Ciąg dal. n.)

ROZMAITOŚCI.

W sprawie stałego Teatru polskiego w Poznaniu.

Nowo wybrany kom. teatr. z pp Adolfa hr. Bnińskiego, Leona Śmitkowskiego, dr. Jarnatowskiego i Teodora Żychlińskiego, Red Dzien. Pozn. ukompletuje się do liczby 21 członków i odbędzie pierwsze posiedzenie dnia 10 stycznia.

Wiadomość rozszerzona w Lwowie przez zwolenników pana Młaszewskiego, jakoby tenże pozyskał dla teatru lwowskiego artystę p Lecha Nowakowskiego jest wedle Gazety Narodowéj fałszywą. Pan Lech Nowakowski i p. Miłosz Sztengel powrócą napewno w pierwszych dniach stycznia do Poznania z towarzystwem dramatycznem i rozpoczną niezwłocznie przedstawienia.

Towarzystwo Przemysłowców w Pleszewie, zawiązane od niedawna na wzór Towarzystwa Młodych Przemysłowców w Poznaniu, ma dać zaraz po Nowym Roku przedstawienie dramatyczne ze śpiewami: „Pochód z pochodniami i Okrężne“; nadto będzie dawało peryodyczne przedstawienia, przeznaczając część funduszu z przedstawień zebranego, na wybudowanie gmachu teatralnego narodowego w Poznaniu.

Towarzystwo rólniczo-przemysłowe dla powiatu toruńskiego urządziło w Chełmży na dniu 16 m grudnia r. z. jako w rocznicę swego założenia przedstawienie amatorskie, na którém odegrano dwie komedye: „Pokój o jednych drzwiach“ i „Oryl.“

Czysty dochód z przedstawienia przeznaczono na wybudowanie teatru polskiego w Poznaniu.

Towarzystwo polskich przemysłowców w Dreźnie ma zamiar dać polskie przedstawienie teatralne pod koniec stycznia; czy zamiar ten wszakże przyjdzie do skutku, nie wiadomo Fundusze Towarzystwa od niedawna zawiązanego są szczupłe, a poparcie polskiéj publiczności w Dreźnie niepewne. Życzyćby wszakże wypadało, ażeby Towarzystwo rzeczone dołożyło wszelkich starań i zamiar ten do skutku przywiodło; przedstawienie to dane w obcém mieście, uwydatniać będzie potrzebę teatru polskiego pod zaborem pruskim i popierać moralnie pomysł zbudowania stałego teatru narodowego w stolicy Wielkopolski.

*

(Nieszczęśliwe przyzwyczajenie). Wielka, piękna i młoda pani miała w ramieniu ból i kazała przywołać lekarza. Lekarz przyszedł, zaczął konsultować; trzeba było przystąpić do zbadania obolałego miejsca. Przed lekarzem nie ma się sekretów, więc się też na żądanie jego odsłoniło piękne, pulchniutkie, śnieżne ramię. Ani oko, ani wprawne palce lekarza, nie mogły dociec przyczyny boleści. „Pewno lekki romatyzm, przyślę nacieranie, trzy razy na dzień“ — ordynował lekarz i zalecając jeszcze wystrzeganie się przewiewu i t. d. podszedł ku umywalni, nalał wody i umył palce, jak to zwykł był czynić przy każdéj własnoręcznéj konsultacyi. Biedny nieprzytomny konsyliarzu! zapomniałeś, żeś dotykał wdzięku, którego obraza nie może ujść bezkarnie. — Na [illegible] dy przybył odwiedzić pacyentkę i żądał znów okazania ramienia, obrażona pani wskazała mu na umywalnię i rzekła z zgryzliwym uśmiechem: „Ale pan konsyliarz będziesz łaskaw poprzednio umyć ręce.“

*

(Amerykańskie pojęcie o piekle i raju). Pewien czarny kaznodzieja wykładał swoim słuchaczom — przeważnie murzynom — różnicę między piekłem a niebem w sposób następujący; „Moi kochani bracia, zróbcie małe tylko porównanie. Z jednéj strony straszliwe piekło z swemi mroźnymi wiatrami, bezustannym śniegiem i lodem, bawełną, pakami z cukrem i kawą, które bez przerwy z pokładów okrętowych na ląd nosić będziecie musieli, a z drugiéj strony radości raju, wiecznie ciepłego i wolnego od wszelkich zatrudnień, raju, zalanego najpiękniejszemi i najlepszemi łakociami, o jakich tylko pomyśleć możecie.“ — „Tylko dużo słoniny!“ odezwał się na to jakiś pobożny słuchacz, który bez namysłu zdecydował się na zaliczenie do wybranych pańskich.

*

Kalendarz historyczny polski.

Dnia 1 stycznia: 1467. Urodzenie Zygmunta I. — 1657. Rakoczy najeżdża granice Rzeczypospolitéj

Dnia 2 stycz.: 1491. Bitwa z Węgrami pod Koszycami.

Dnia 3 stycz.: 1601 Zwycięstwo nad Szwedami pod Wenden. — 1795 Deklaracya Austryi i Rosyi do zupełnego rozbioru Polski.

Dnia 4 stycz.: 1517 Sejm pruski przez Zygmunta I zwołany do Malborga. — 1744. Przymierze carycy Katarzyny z królem pruskim, Fryderykiem, warujące elekcyą Poniatowskiego. — 1771. Pobicie Moskwy pod Częstochową.

Dnia 5 stycz.: 638. Śmierć kanclerza Tomasza Zamojskiego.— 1660. Zjazd komisarzy do zawarcia traktatu w Oliwie. — 1664. Zdobycie na Moskalach Bychowa. — 1796. Austryacy wkraczają do Krakowa. — 1831. Manifest sejmu do Narodu.

Dnia 6 stycz.: 1355 Mazowsze przez pacta do Korony wcielone. — 1429. Zjazd królów chrześcijańskich w Łucku.

Dnia 7 stycz.: 1285 Synod duchowieństwa polskiego w Łęczycy. 1375. Synod duchowieństwa polskiego w Uniejowie. — 1573. Sejm konwokacyjny po śmierci Zygmunta Augusta.

Szarada.

Pierwsze i drugie wyraża płacz nieba,
Gdy kwiaty poi, ludziom daje chleba
I rychłe rzeki nowym zdrojem darzy...
Trzecie i czwarte oznacza część twarzy,
Na któréj wiernie każde serc uczucie
Drzy jak woń róży, brzmi jak prawda w nucie;
Trzecie i drugie jest miasto na Litwie,
Poświadczyć może nie o jednéj bitwie;
Trzecie i pierwsze drzewo ukochane.
Wieszcza naszego; jego imię znane.
Pierwsze i czwarte tego pana znaczy,
O którym mówią, że jest wart pałacy,
Wszystko zaś razem z jaszczurek rodzaju
Samicę znaczy, co pełza po kraju.
Pod tą to nazwą, by zmylić poszlaki,
Jeden z pisarzów puścił swe rumaki.

(Rozwiązanie szarady w nr. 52: ***Napoleon***.)

Korespondencya Redakcyi.

Pani M. N. w Poznaniu: Nie mogliśmy zamieścić, już bowiem wybór nastąpił. Prosimy o pamięć. — Panu Z. w Raszkowie: Podziwiamy Pański talent i cierpliwość. — Nieznajomemu Autorowi „Zadania konikowego“ przypominamy się; — równie Panu Wich.. w Wrocławiu.

Od Redakcyi.

Szanownych abonentów Sobótki prosimy o rychłe odnowienie przedpłaty na kwartał bieżący, aby zapobiedz zwłoce w przesyłaniu numerów.